

Ovadia 9

Miasto Ramat Gan, położone na historycznym szlaku łączącym drogą lądową Azję, Afrykę i Europę, oddaje się często Tel Awiwowi, doczepiając je jako przedmieścia czy dzielnicę tętniącej życiem najsłynniejszej izraelskiej metropolii. Ramat Gan, czyli Ogród na Wysokościach, jest wciśnięte pomiędzy miasto rozrywki, miłości i pożądania, miasto, które nigdy nie zasypia, miasto – mekkę łaknących wszelakiej czułości, a izraelski sztetl – często brudny, biedny, ultraortodoksyjny w swej większości Bnej Brak, który właśnie ma dorobić się linii tramwajowej łączącej go z sąsiednimi miastami, ale który i tak zatrzymał się w czasie przed laty, z budynkami zdecydowanie wymagającymi odnowienia i powiewającym z okien nad większością brudnych chodników praniem wielodzietnych rodzin.

Ramatganowska ulica Ovadia² biegnie w pobliżu miejskiego parku porzecinanego licznymi alejkami, nad którymi pochylają się palmy, i podlewanymi przez większość roku trawnikami, na których wylegają się Izraelczycy dokarmiający wszechobecne ptactwo krążące pomiędzy parkiem a przylegającym do niego ogrodem zoologicznym i safari. Krótka, wąska, jednokierunkowa, wypełniona rozłożystymi krzewami, żywopłotami i fikusami okalającymi wybudowane w latach pięćdziesiątych i zamieszkałe głównie przez ocalałych z Zagłady małe domki jednorodzinne. Na dachach, pokrytych czerwonymi dachówkami, lubią zatrzymywać się przelatujące kaczki i dzikie gęsi. Po prawej stronie sznur zaparkowanych samochodów. Pod numerem „9” czarna furtka, na niej pięć odklejających się i wygiętych przez wdzierające się wszędzie, palące izraelskie słońce płytek z hebrajskimi literami układającymi się w napis: „Amiel”. Na ścianie przy drzwiach wejściowych ceramiczny domek. W środku figurki domków – spora kolekcja na ścianie i półkach w kuchni, jako magnesy na lodówce, i kolejne – stojące w gablocie w salonie i na półkach w pracowni, łazience i sypialni.

– No, moje domki, nie trzeba być wielkim psychologiem, żeby zrozumieć, czemu mam tyle domków – odzywa się właścicielka domu charakterystycznym, zachrypniętym głosem, który Piotr Śliwiński nazwał niegdyś „spalonym”. Otwiera szeroko drzwi wejściowe i, śmiejąc się, śpiewa: „Drzwi się same otwierały, ooo, cud się stał pewnego razu, ooo, dziad przemówił do obrazu, ooo, obraz mu ani słowa, ooo, taka była to rozmowa, ooo...”. Przed osiemdziesięciu laty odebrano jej i zniszczono dom w Polsce. Spalił się jej świat, a ona wyszła stamtąd o s m a l o n a, podczas gdy Treblinka pochłonięła niemal całą jej rodzinę. Przyszła na świat osiem lat przed wybuchem drugiej wojny światowej, ponad dwa tysiące kilometrów stąd, w świętej, katolickiej Częstochowie jako Irena Librowicz.

– Tamtej już nie ma, umarła – macha ze zniecierpliwieniem ręką i krzyczy dalej w ciasnej kuchni z dużym oknem, którego parapet wypełniony jest kolorowymi naczyniami, drewnianymi łyżkami i słoikiem z ogórkami kiszonymi domowej roboty. Zwinnie, jakby nie miała swoich prawie dziewięćdziesięciu lat, kroi i układa na tacy świeże, egzotyczne owoce (jej ulubionym jest mango), suszone daktyle, świeżo zaparzoną kawę i napar z ziół zerwanych przed momentem we własnym ogródku.

– Chodź, pokażę ci – mówi i prowadzi mnie przez salon z ogromnym stołem, wypełniony obrazami jej córki, do swojej jasnej, oszklonej pracowni, pełnej po brzegi książek, a stamtąd na zewnątrz.

– Zobacz – pokazuje na kłacza winorośli pnące się po wschodniej ścianie, niemalże wpełzające przez niewielkie okno do jej dawnej sypialni. – Zobacz, to jest jedyny czas, kiedy jestem w stanie uwierzyć, że Bóg istnieje. Pod warunkiem, oczywiście, że uznamy, że Bóg i Natura to jedno. Co roku czekam, aż te suche gałązki, okalające ściany i dach, zazielenią się na nowo i kiedy to następuje, wiem, że tuż, tuż będziemy świętować kolejne urodziny mojej córki. Czekałam na ciebie właśnie tutaj, rozkoszując się izraelskim słońcem i próbując zrozumieć, dlaczego właściwie muszę umierać, skoro tak dobrze mi w tym słońcu. To niesprawiedliwe, ale taka widocznie jest kolej życia.

Zrywa kwiaty jaśminu, rosnącego wzdłuż wysokiej ściany z drewnianych desek, zza której dobiega dziecięca wrzawa, i podstawia mi je pod nos do powąchania, by za chwilę schylić się z nożyczkami nad kępką fiołków, które wciśnie mi do ręki – One rosną cały czas, nawet lepiej, jak się je zrywa. Zobacz, takie same jak w Polsce – mówi podekscytowana i prowadzi do niezliczonych, wybrzuszonych glinianych donic biegnących wzdłuż ściany odgradzającej ją od ortodoksyjnej sąsiadki, wypełnionych kwiatami

i ziołami. Zatrzymuje się przy drzewku z drobnymi pomarańczami, zrywa kilka i podaje mi do spróbowania, pokazując na kaktus zerkający przez wysoki płot od sąsiadów.

– Widzisz te owoce na nich? To opuncje, po hebrajsku *sabres*, czyli kwintesencja Izraelczyka: kolczasty na zewnątrz, słodki i miękki w środku. – Nożyczkami ścina *luizę*, jak nazywają tu popularną odmianę werbeny, drobne gałązki z zielonymi listkami o świeżym zapachu. – To będzie twoja herbata – mówi z zadowoleniem. Układa na tacy filiżanki, brzdęka talerzykami, podśpiewuje pod nosem dawne piosenki z Częstochowy, a przed wykonaniem stresującej czynności żegna się, zerkając na mnie z błyskiem w oku i mówiąc: w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen!

Irit Amiel poznawałam trzy razy.

Po raz pierwszy latem 2007 roku w miejscu mojego urodzenia, w Beskidzie Wyspowym, kiedy po kilku latach poszukiwań udało mi się dostać *Osmalonych*, by jednym tchem przeczytać te opowiadania o ludziach z miasta, w którym wtedy mieszkałam – Częstochowy.

Drugi raz rok później, upalnego lata 2008 roku w Tel Awiwie, w małej kawiarni na Allenby – parnej, głośnej i tłocznej ulicy, wypełnionej przed laty polskimi sklepami, księgarniami, urzędami. Miesiąc wcześniej, w czasie swojej podróży do polskich korzeni, Ronit, której matka żyła do wybuchu wojny w moim rodzinnym miasteczku Szczekociny, zapytała zniecierpliwiona, czy znam Irit Amiel... a może chciałabym ją poznać, bo to mama jej koleżanki, od której Ronit kupuje zaprojektowane ubrania, sygnowane imieniem córki Amiel – Dita – i sprzedaje w swoim butikiu na głośnym, cuchnącym jerozolimskim szuku Machne Yuda.

Irit bezceremonialnie każe mi wtedy nazywać się po imieniu, a po intensywnej rozmowie, kiedy jej córka kończy oprowadzanie nas po swojej pracowni wypełnionej ubraniami i prosi, by wybrać sobie coś na pamiątkę, przyjrzy mi się i zapyta, czy radzę sobie z komputerem, bo właściwie – okazuje się – ona szuka kogoś do pomocy w pisaniu i w swoich literackich sprawach. Cierpliwie poczeka na mnie cztery lata, aż zakończę swoje życie w Polsce, przeprowadzę się do jej drugiego kraju i nauczę się jej drugiego języka, by zacząć ze mną wspólną podróż w naszym wspólnym pierwszym, której to podróży w pewnym sensie zwieńczeniem czy ukoronowaniem jest ta książka – zapis naszych licznych, długich rozmów na przestrzeni kilku lat, odbytych w jej ogródku, w salonie, w pracowni, czy w drodze na różne spotkania, podczas których jej towarzyszyłam.

I to podczas sklejania naszych wspólnych myśli, uczuć, pytań i odpowiedzi poznałam Irit po raz trzeci. Kiedy nagle przerywała wszystko i szła po tabletkę na uspokojenie. Kiedy mówiła: „tego jeszcze chyba nie mówiłam nikomu”, czy: „ale tego nie pisz”. Kiedy okazywało się, że nadal jest „tam”, po tylu latach, i kiedy po raz pierwszy i jedyny widziałam ją łkającą, wzruszoną literaturą o Zagładzie.

W jej opowieściach powtarzały się nazwy ulic Nadrzeczej i Garncarskiej, w sąsiedztwie których mieszkała w czasie wojny, w getcie, a gdzie ja po kilkadziesiąt lat wędrowałam z uczniami, robiąc zdjęcia do projektu „Ocalić od zapomnienia” i odkrywając z nimi żydowską historię Częstochowy. Wtedy, w pobliżu, stała jeszcze rampa obok nieczynnej stacji kolejowej, z której przed prawie sześćdziesiąt laty wysłano pociągami do Treblinki kilkadziesiąt tysięcy częstochowskich (i nie tylko częstochowskich) Żydów, w tym rodziców i najbliższych z rodziny Irit Amiel, wtedy Irenki Librowicz.

Tymczasem tu, w jej zalanym słońcem izraelskim domu, trwają sobie spokojnie, uwiecznieni na zdjęciach oprawionych w ramki, stojących nad głową ukochanej jedynaczki. Jej włosy zdążyły stać się białe, ale w środku pozostała bolesna niepewność i wiele nieprzemijających pytań o przeszłość. Tatusz – elegancki, wsparty na lasce, przy oknie po prawej, na białych, drewnianych półkach w pracowni, jak zwykle z zawadiackim uśmiechem. Mama tuż obok, po lewej. Jak to ona: zamyślona, melancholijna, zapatrzona w dal. Stoją nad książkami o swym własnym losie, napisanymi przez ukochaną córeczkę, przetłumaczonymi na kilka języków. Okładki stanowią jednocześnie kolekcję obrazów wnuczki, której nigdy nie poznali.

Obok Lolo. Ma cały czas dziewięć lat i śmieje się do aparatu na łące, trzymając w ręce rakietę tenisową. Poniżej Lucek, chwyta za dłoń Irenkę patrzącą w dół, oślepioną słońcem.

W przyległym do pracowni salonie babcia Udl. Smutna, posągowa, stoi sobie w gablotce z naczyniami, świecami i porcelanowymi domkami, które zbierać będzie jej ukochana wnuczka Irusia.

W żydowskim kraju, do którego uciekła brawurowo ich wychuchana Irenka, są bezpieczni.

Może nawet nieśmiertelni.